

• Piotr Trojan otrzymał nagrodę dla najlepszego aktora pierwszoplanowego w 2020 i 2022 r. Natomiast w 2021 r. – wyróżnienie podczas FPFF w Gdyni za swój debiut reżyserski „Synthol” (konkurs filmów krótkometrażowych) FOT. MAGDALENA MICHALAK

„Ty idź na księdza, to blisko mnie
będziesz i pannę będziesz miał”
– mówiła moja babcia Teresa

CIAŁO WRAŻLIWY

Z AKTOREM **PIOTREM TROJANEM**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Słyszę w pana języku śląski akcent.

– Nawet czasami pozwolę sobie użyć go w filmie. W Ameryce aktorzy mówią ze swoim akcentem, bo to jest fajne i oddaje ich charakter. Nie wiem, dlaczego u nas tak walczą o poprawność.

Kiedy miałem zdawać do szkoły teatralnej, przestrzegano mnie, bym uważał z tą naszą gadką. I każde pytanie musiałem intonować jak zdanie twierdzące. Czulem się jak robot: idziemy do kina. Masz ochotę na ciastko. Ale i tak się przed komisją zdradziłem, bo na koniec zapytałem po naszymu: a coś wam się nie podobało? Na co oni: nie, nie, wszystko w porządku. A pan z gór? Ja, z gór jestem.

Śmieszne, chociaż nie wiem, czy czytelnicy wiedzą, że „ja” znaczy tak.

– Poza tym nie jestem z gór, ale powiedziałem dla świętego spokoju, że jestem. Bo kiedy mówię znajomym, że pochodzę z Tarnowskich Gór, często słyszę: ale fajnie, przyjeździemy i pochodzimy po górach. A tam żadnych gór nie ma.

Drugi rok z rzędu zaciągający lekko Ślązak dostał nagrodę za najlepszą rolę męską na festiwalu filmowym w Gdyni.

– I nie stałem się z tego powodu lepszym aktorem, a ktoś, kto jej nie dostał, nie jest aktorem gorszym. Nie każdy miał tak dobry materiał do zagrania jak ja. Ja bym wolał, żeby nie było konkursów, tylko byśmy wspólnie oglądali filmy, a potem o nich rozmawiali.

Umie się pan w ogóle z niej cieszyć?

– Miałem w czasie gali wyłączony telefon, a kiedy go włączyłem, to zablokował się od wiadomości z gratulacjami. I to było miłe. Nagrody to za duże emocje, a ja wolę spokój. Poza tym nie dają gwarancji, że od tej pory będę miał pracę. Znam aktorów, któ-



rzy byli wybitni i przestali grać. Zresztą po zagraniu Tomka Komendy myślałem, że to była moja pierwsza i ostatnia rola.

Dlaczego?

– Tyle razy dostałem po dupie, że trudno mi było przypuszczać, że nagle coś się odmieni. Teraz jestem w fajnym momencie, ale gdyby zadzwoniła pani do mnie w lutym, to możliwe, że nie umiałbym z panią porozmawiać. Byłem w złym stanie – i zawodowym, i psychicznym. Podejrzewam, że kiedy skończy się spotkanie z publicznością po projekcjach „Johnny’ego” i minie trochę czasu, to znów, tak jak po „25 latach niewinności”, będę odczuwał niepewność. Albo o pracę, albo o to, czy podołam roli. Sukces, który przyszedł dość późno, bo przecież mam 36 lat, zaimpregnował mnie na myślenie, że teraz przede mną to już pasmo sukcesów.

Przecież jest pan na krzywej wznoszącej.

– Ale nie mam w sobie miejsca, by zrobić kolejną wielką rolę. Muszę się znów napelnić. Spotkaniami z ludźmi, książkami, doświadczeniami. Włać w siebie to „coś”, z czego teraz czuję się wyspany. Chcę uprawiać swój zawód do końca życia, dlatego nie muszę się spieszyć i fokusować na wielkiej roli, by zebrać w dwa lata tysiące lajków na Instagramie, a potem zarabiać na reklamach.

Od kiedy potrafi się pan nie spieszyć?

– Moja babcia Teresa mawiała: człowiek myśli, Pan Bóg kryśli, czyli nie ma co planować, bo i tak to się wszystko nie uda.

Od dziecka marzyłem, że będę aktorem, ale nie było w tym marzeniu nerwowego realizowania planu. Babcia bardzo chciała zobaczyć mnie na ekranie, ale skarzyła się, że nigdy nie może trafić, bo pojawia się na sekundę, a ona wtedy właśnie przysypia. Nawet rozciągała sobie powiekę, by wytrzymać, ale nie dawała rady. Mówiłem jej: babcia, teraz będę grał długo, zobaczysz, ale nie dożyła tej chwili. Nie mogłem się pospieszyć, chociaż wiedziałem, jakie to dla niej ważne. Nosila w torebce moje zdjęcie, duży format, B1, które pokazywała z dumą swoim koleżankom. Mówiła im, że mieszkam w centrum Warszawy i mam mieszkanie, i choć prostowałem, że mieszkam na Pradze w wynajętym mieszkaniu, to ona powtarzała swoje.

Babcia chciała, żeby pan był księdzem.

– Największym marzeniem mojej babci było, byśmy się dodzwonili do Radia Maryja i odmówili na antenie różaniec, i żeby ludzie nas usłyszeli. Nigdy nam się nie udało. Możliwe, że myślała, że będę księdzem, ale poszedłem do szkoły salezjańskiej nie dlatego, że byłem wierzący, tylko dlatego, że była to najlepsza szkoła humanistyczna w Tarnowskich Górach, w której pozwalano mi realizować swoje pasje. Miałem tam swój kabaret, grałem w szkolnym teatrze. Nie mam laski wiary. Tak strasznie nie umiem uwierzyć, że jest jakieś życie po śmierci, choć pewnie gdybym wierzył, byłoby mi łatwiej. Mama mówi, że jej życiem wiecznym jesteśmy my, jej dzieci. Do mnie trafiła pani z fizyki, która powiedziała, że nie da się unicestwić atomów, z jakich jesteśmy zbudowani, które po naszej śmierci będą się łączyć w nowe konfiguracje. I dlatego jesteśmy nieśmiertelni.

A jakie teologiczne prawdy zapamiętał pan ze szkoły?

– Przed lekcjami spotykaliśmy się wszyscy na modlitwie, a potem każdy z nas wygłaszał tak zwane słówko. Była to mądra myśl, która miała nam towarzyszyć przez cały dzień. Mogła to być przypowieść albo piosenka. Ja, zdaje się, czytałem „Kwiaty zła” Baudelaire’a, czego nie pamiętam. Przez sześć lat gimnazjum i liceum nie zapamiętałem ani jednego słówka, ani jeden mądrzej myśli. Może przez wczesną godzinę? Chociaż myślę, że stresowało mnie tyle ludzi zgromadzonych w jednym pomieszczeniu. Musiałem odwracać myśli i koncentrowałem się na tym, kto jest jak ubrany. Spodnie dzwony wtedy wchodziły i wszyscy kupowali sobie ten krzyk mody w hali targowej.

Chłopczyk z Tarnowskich Gór zamarzył o byciu aktorem. Pamięta go pan?

– Pewnie, że pamiętam. I gdybym teraz siebie zobaczył, tobym siebie przytulil i powiedział: nie martw się, jesteś doskonały, jesteś super. I przed tobą to jest. Uda się.

Ma pan stop-kłatkę z tamtego czasu?

– Kilka. Na festyn odpustowy w Nakle Śląskim, skąd pochodzi moja mama, zjeżdżała się cała rodzina. Wujkowie dawali nam jakieś grosze na misie i pistolety. Ja wydawałem je na słodycze, ale moi kuzyni kupowali broń. Pamiętam smak imbirowych cukierków w cukrze i zapach prochu.

Raz na loterii wygrałem grzańca. Mogłem mieć z osiem lat. Schowałem pod łóżkiem. To był mój pierwszy smak wina. Nie podgrzałem go, bo nie wiedziałem, że trzeba, ale było słodziutkie. Pilem, patrzyłem na plakat Pinokia wiszący na ścianie i marzyłem, że będę aktorem.

Druga?

– Leżę na tapczanie między śpiącymi rodzicami i oglądam „Kocham kino”. Po cichu, żeby ich nie budzić. Mam zeszyt i notuję. Po „Zet i dwa zera” Greenaway’a nie mogłem zasnąć, bo widziałem rozkładające się ciała. Wycinałem z gazet opisy tych filmów i uczyłem się na pamięć.

I ostatnia.

– Sobota. W soboty na Śląsku wiesz się świeże firany, piecze ciasta. Sprzątam pokój i słyszę w radiu, że zmarł Kazimierz Dejmek. Nie wiedziałem dokładnie, kto to jest, ale świtało mi, że ktoś istotny. A potem pracowałem w teatrze jego imienia.

Dlaczego ten chłopczyk marzył o tym zawodzie?

– Miałem za dużo wrażliwości i nie umiałem jej wyrazić. Nie umiałem krzyknąć czy zapłakać. Intuicyjnie czulem, że aktorstwo pomoże mi te emocje z siebie wyrzucić. Grałismy w domu przedstawienia, na które „sprzedawałem” bilety z papieru toaletowego. Przebierałem kuzynów i braci i mówiłem, co mają grać. Czulem, że mogę stworzyć świat, a oni mogą weń wejść i zobaczyć, co jest w środku. Odgrywaliśmy to, co się działo w kościele, „Opowieści z Narnii” i „Czarodziejki z Księżyca”. Z paczek od wujka Karola z Niemiec mieliśmy żółte kalesony, nakładaliśmy je na głowy, żeby się do nich upodobnić.

Był pan grubym chłopczykiem.

– Przez długi czas nie wiedziałem, że jestem gruby. Kiedy ktoś spytał mnie w szkole, czy zjadłem słonina, nie rozumiałem, o co mnie pyta. Kilka lat później kolega zapytał, czy kiedy siedzę, nie duszą mnie moje fałdy tłuszczu, i dopiero wtedy, nieświadomy totalnie, jak zmienić swoje ciało, zacząłem popadać w kompleksy. Największym horrorem był WF, kiedy koledzy ściągali koszulki, albo sprinty, które oglądała cała szkoła, a ja ostatni, ledwo dyszący na mecie. To było poniżające. A potem błędne koło, bo zjadłem lęki nieświadom, co robi ze mną jedzenie.

I kto pana oświecił?

– Mama. Strasznie chciałem pojechać na szkolny obóz siatkarski, ale też strasznie się wstydziałem zgłosić. Siedzieliśmy z mamą na balkonie, płakałem i opowiadałem jej o moim wstydzie. Mama powiedziała, bym pojechał, bo nikt mi tam nic złego nie zrobi. Będę z ludźmi, którzy mnie lubią i chcą spędzić ze mną wakacje. Wtedy wyjaśniła mi, że nie każde jedzenie jest zdrowe. I że żółty ser i słodycze mają wpływ na ciało. Kiedy po tych wakacjach wróciłem do szkoły, koledzy mnie nie poznawali.

Nie był pan sekowany?

– Nie wiem, bo nigdy nie wchodziłem w konflikt. Mam dwóch braci, którzy od zawsze o mnie dbali. Jestem wprawdzie środkowy, ale najmniejszy. I kiedyś Andrzej mnie pyta, czy ma wpierdolić gościowi, który mnie przeżywa na ulicy. Poprosiłem, by go nie bił. Unikalem konfrontacji. Jakis czas temu na

Polu Mokotowskim pogryzł mnie pies. Jego opiekunka przeproszała mnie i zarzekała się, że „ten pies nie gryzie”. Wtedy wyszło ze mnie to, co latami w sobie tłamsiłem, i wykrzychałem do niej, że pies powinien być na smyczy lub w kagańcu. Wcześniej Piotr powiedziałby: nic się nie stało, ale obecny na szczęście potrafi wyrzucać z siebie to, co czuje, i nie sypcha siebie i swoich potrzeb na dalszy plan. Ale jestem po terapii i wiem, że bruksizm i napięcia w miednicy to są konsekwencje moich stresów i duszenia emocji.

Gruby chłopczyk z wadą wymowy spełnia marzenie i zostaje aktorem.

– Nad wadą wymowy pracowałem u logopedy i byłem najstarszym uczestnikiem zajęć w grupie. Przedszkolaki i ja, nastolatek. Zastanawiam się, czy moi bliscy naprawdę wierzyli, że ja zostanę aktorem, ale pamiętam krzyk mamy i braci, kiedy zadzwoniłem do domu z wiadomością, że się dostałem do szkoły filmowej. Pies szczeka, oni się drą ze szczęścia, ja prawie płacze. Potem nagle się okazało, że trzeba na te studia wydać dużo pieniędzy, których do końca nie mamy. I wtedy Karol, który pracował w Anglii, wysłał mi swoje pierwsze pieniądze. Nie wiedziałem, że moja historia może być dla kogoś drogowskazem, ale bardzo się wzruszyłem, że dzieciakom z Tarnowskich Gór dodaje wiary, że marzenia można spełnić.

Skąd pan to wie?

– Robię dla nich warsztaty w miejskim ośrodku pomocy. Pracuję na ich wyobraźni, która jest przepastna. Rozmawiamy o ich strachach i lękach, i o lokalnych miejskich legendach. Nakręciliśmy słuchowisko horror, w tym roku nagralismy słuchowisko radiowe, w przyszłym też coś wymyślimy. Ufają mi. Kiedy dziennikarka TVN zapytała, co im dają te warsztaty, odpowiedzieli, że uwierzy-

li, że skoro mnie się udało, to im też może się udać. Nawet mi do głowy nie przyszło, że taki będzie efekt naszych spotkań.

Ale właściwie dlaczego pan chciał z nimi pracować?

– Żeby coś oddać miejscu, z którego wyszedłem? Dać coś z siebie? Już w liceum odczuwałem taką potrzebę. Byłem wolontariuszem w schronisku dla zwierząt. Chodziłem wyczyścić boksy, wyprowadzić pieska, który się w boksie nie wypróżni, bo musi mieć czysto, zmielić karmę. W naszym domu zawsze była miłość. I zawsze były zwierzęta. A zwierzęta uczą odpowiedzialności, bo musisz się nimi zająć, a potem być przy nich, gdy umierają. To w końcu twoi przyjaciele. Korze, mojemu jamnikowi, zwierzałem się do ucha z największych sekretów. Po iluś latach mój brat Andrzej powiedział mi, że i on wygadał jej do ucha wszystkie swoje tajemnice.

Z umieraniem mierzył się pan, przygotowując się do filmu „Johnny”. Patryk Galewski, którego pan gra, ucieka z hospicjum, w którym ma społecznie odpracować kilkadziesiąt godzin. Rozumie pan jego reakcję?

– Rozumiem, bo ja też uciekłem. Daniel Jaroszek, reżyser, poprosił mnie, bym pracował w hospicjum. Bo wejść w sterylne, filmowy świat i nie zrozumieć, dlaczego Patryk stamtąd uciekł. A jak nie zrozumieć, to nie zagram. Byłem wolontariuszem m.in. w hospicjum w Wołominie. Zanim wszedłem do środka, długo siedziałem przed wejściem. Bałem się tego, co tam zobaczę, fi-

zjologii, umierania i tego, że ktoś mi powie, że ktoś mnie zapyta, czy umiera, a ja nie będę wiedział, co mu odpowiedzieć i jak się zachować. Pani, która się mną zajmowała, zapewniła, że nikt mnie o swoje umieranie nie zapyta, bo w hospicjum jest życie. Będzie pan pomagał, coś przerosił, rozmawiał. I rzeczywiście. Siedzi się z tymi paniami i panami, plotkuje, śmieje się, wychodzi na papierosa. Wydawało mi się, że niektórzy trafili tam przez przypadek, jak matematyk, który rozwiązywał jakieś zadania, słuchał muzyki, czytał książki. Rozmawialiśmy i był totalnie sprawny intelektualnie. Ale okazało się, że poznałem go w ostatnim etapie jego życia.

To dlaczego pan uciekł?

– Bo zobaczyłem mężczyznę, który umierał. Wtedy tego nie wiedziałem, ale rozważyłem, bo w jego twarzy było przerażenie. Jadł jakąś niefajną kanapkę, białe pieczywo z dżemem, i to wstawał, to kładł się na łóżko. I trzął się. Przestraszyłem się i musiałem wyjść na powietrze. Wróciłem po kilku minutach, a on już nie żył.

Jakis czas potem jechałem pociągiem do Pucka i usłyszałem komunikat, że w jakimś przedziale potrzebny jest ciśnieniomierz. Wożę go zawsze ze sobą, więc zaniósłem go do konduktora. I widzę mężczyznę, który ma to samo spojrzenie, ten sam lęk. Wstaje, siada, jest tak samo spocony i rozedrgany. Nie wie, co się z nim dzieje. I umarł.

Tego mężczyzny z hospicjum nie chciałem oglądać po śmierci, ale pani, co się mną zajmowała, przekonała, że powinienem. Pan będzie to grał, przekonywała. Wróciłem i patrząc na niego, odwracałem myśli w inną stronę i koncentrowałem się na tym, by nie zemdleć. Na planie doskonale wiedziałem, co mam zagrać. Powtórzyłem swój lęk.

Nie widział pan wcześniej umierających ludzi?

– Na Śląsku odwiedzaliśmy zmarłego, który zgodnie z tradycją przez trzy dni leży w trumnie. Nawet robiono mu zdjęcie, co było ponad moje nerwy, ale już wtedy umiałem ratunkowo odwracać myśli od sytuacji, w jakiej jestem naprawdę. Inaczej mdlałbym, bo moje ciało potrafi się odciąć.

Odwiedziłem też z mamą jej umierającą siostrę. Mama próbowała ją uspokajać. Nie martw się, spotkamy się jeszcze, wszystkich nas to czeka, na co ciocia ledwo słyszalnym głosem powiedziała: to zamierzam się teraz ze mną. Nie wiedzieliśmy z mamą, co się mówi w takich sytuacjach. I nie umiałem jej pomóc, kiedy zmarła babcia. Mam przed oczami, jak siedzi w kuchni i płacze. Mała, bezbronna dziewczynka, która straciła mamę... A ja stałem jak koleś. Nie umiałem rozmawiać o śmierci.

Już pan potrafi?

– W „Johnny’em” pada zdanie, że najpiękniejszym darem, jaki możemy dać drugiemu człowiekowi, jest czas. I gdyby teraz umierał ktoś, kogo kocham, powiedziałbym mu, że jak będzie dobrze, to będzie dobrze i zrobimy imprezę, a jak nie, to będę przy tobie do końca. Po prostu. Po pokazach filmu podchodzą do mnie ludzie i zwierają mi się z odejść swoich bliskich. Wczoraj była rodzina, rodzeństwo, ich brat odchodzi na glębiaka. Pokazali mi jego zdjęcie. Płakali. Powiedzieli, że jestem pierwszą osobą, z którą o tym rozmawiają. I zapytali, co mają robić.

I co im pan powiedział?

– A co mogłem im powiedzieć? Przecież jestem tylko aktorem. Mądry to jest Adam Bodnar, a ja tylko robię rolę. Nie mam z tego powodu większej wiedzy i większego daru rozumienia innych. Mogę ich tylko wysłuchać, podziękować im za to, że chcieli mi o czymś opowiedzieć, ale nic więcej nie mogę im dać. Nie jestem terapeutą.

Zostawia ich pan bez odpowiedzi? Nawet tej o dawaniu czasu?

– Ja nie mam dla nich odpowiedzi. Zadzwoniłem do Anny Labudy, dyrektorki puckiego hospicjum, poprosiłem o pomoc w takich sytuacjach. Dała mi adres strony interneto-

wej, którą mam się dzielić, na której ludzie mogą szukać pomocy. Ale Patryk, ten prawdziwy, którego ja tylko gram, opowiadał mi, że ludzie dzwonią do niego i proszą, by pomógł im przejść przez umieranie ich bliskich. I on to robi, bo potrafi.

Kiedy rozmawialiśmy o tym chłopaku umierającym na glejaka, Asia, moja przyjaciółka, która stała obok, powiedziała: pozwólcie mu odejść, co chyba nie było dla tej rodziny radą, jaką byli gotowi przyjąć. My rzeczywiście nie pozwalamy umrzeć tym, których kochamy. Ania Lubada opowiadała, że ludzie mają do niej pretensje o to, że przywożą chorego do ośrodka, a on po kilku dniach umiera. Mówi im wtedy, że umarł, bo w końcu mógł sobie na to pozwolić. Bo nikt go nie zmuszał, by się męczył i był dla was, tylko wreszcie był sam dla siebie i mógł spokojnie odejść.

Lubi pan te spotkania?

– Są piękne, wzruszające, ale też mnie dużo emocji kosztują. Gdybym mógł, to siedziałbym w domu. Wydaje mi się, że dlatego dostałem rolę w „25 latach niewinności”, bo sam mogłem nagrać selftepy. W domu, a nie iść na casting, gdzie byłem sto procent spięty, czując, że marnuję ich czas.

„Marnuję czyjś czas”?

– Tak, bo mają dwudziestu innych do tej roli, również znanych aktorów, i oni wszyscy są na pewno ciekawsi niż ja.

Pan w siebie nie wierzy!

– W szkole nie słyszeliśmy zachwytów na swój temat. Pani Monika Dzienisiewicz-Olbrychska mówiła, że jesteście z Justyną Wasilewską zwierzętami scenicznymi, ale to był jeden z nielicznych komplementów, jakie słyszałem. Raczej mówiono mi, że mam zły głos, źle stoję i źle się ruszam. Jak potem wejść na casting? Przecież ogląda mnie początkujący, nazwijmy to, reżyser, również niepewny, który potrzebuje kogoś, kto mu całym sobą pokaże, że udźwignie mu rolę, dzięki czemu on będzie bezpieczny i zajmie się czymś innym. Strasznie wspominam te castingi. Pamiętam casting do reklamy masła. Dramat. Siedziałem w samochodzie, widziałem ludzi, którzy tam wchodził, i wiedziałem, że nie dam rady. Mieliśmy ze znajomymi imprezę i wszystkich okłamałem, że mi nie poszło, bo za mało twarzowy jestem dla tego masła.

Dlaczego ich pan okłamał?

– Wstydzilem się, że spanikowałem już na etapie wejścia. Wyobraziłem sobie, że stanę na tle białej ściany, a kamerzysta i reżyser będą mnie oceniać. Będą mili i uprzejmi i powiedzą „bardzo dziękujemy”.

Bał się pan oceny?

– Bałem się. Ten strach potrafił mnie tak sparaliżować, że nie wypowiadałem ani słowa. Tak bardzo chciałem być najlepszy, przecież od dziecka o tym marzyłem, że niewinne sformułowanie „dziękujemy panu” rozwalą mnie na trzy dni leżenia.

Baraków wytwórni filmów na ul. Chelmskiej przestałem się bać dopiero, gdy zacząłem chodzić do szkoły mistrzostwa filmowego Andrzeja Wajdy. Dziś jestem zapraszany na castingi pod konkretne role, dostaję cały scenariusz, casting trwa z półtorej godziny. Wiem, że mój głos czy wygląd nie są idealne, ale bliskie człowiekowi trzydziestokilkuletniemu, który może się z moim wizerunkiem utożsamić. Nie muszę udawać kogoś, kim nie jestem, kłamać czy przebieierać się. Kiedyś na castingi wkładałem fajne ubrania – teraz tego nie robię. Wiem, że jestem dobry i nie muszę być najlepszy.

Był w panu strach, że jest „nie dość”?

– Dokładnie.

I do szkoły Wajdy poszedł pan, bo nie chciał być „nie dość dobrym aktorem”?

– Tak. Skoro odpadałem z tych castingów, czasem na ostatnim etapie, to uwierzyłem, że się nie nadaję. Kiedy po imprezie wszyscy ci mówią, że jesteś pijany, to z pewnością

jesteś pijany, więc jak ja słyszałem „nie”, to znaczy, że nie, przestań się oszukiwać.

Przecież był pan nagradzanym aktorem teatralnym.

– Mnie teatr bardzo frustrował – od pierwszych zderzeń z Teatrem Dramatycznym w Warszawie, nocowaniu w Łoży Stalina, żywieniu się w pizzerii, żeby przeżyć, na zasadzie płacisz raz i nakładasz, ile chcesz, przez nędzną wypłatę dwóch tysięcy złotych, która nie pozwalała mi się utrzymać, aż po rozgorzyczenie, że spektakl, nad którym pracuję przez dwa miesiące, jest grany kilka razy. Nie stać mnie na teatr. Mam 36 lat i nie mogę się tak bać o pieniądze. Oprócz pracy jest jeszcze życie. I dlatego zrezygnowałem z teatru i poszedłem na reżyserię do szkoły Wajdy, by zaważyć w Studiu Munka o dofinansowanie na krótki metraż.

Chciał pan zająć się reżyserią?

– Najbardziej chciałem pisać teksty. Przestać być ocenianym. Móc być sobą. Pomyślałem, że będę pisał w domu, w którym się czuję

Nie stać mnie na teatr. Mam 36 lat i nie mogę się tak bać o pieniądze. Oprócz pracy jest jeszcze życie. I dlatego zrezygnowałem z teatru

bezpieczny, nie konfrontując się codziennie z ludźmi, z widownią. Uważam, że mam dobry sluch do dialogów. Łapałem humor i język. Jeśli masz prostego bohatera, to on nie musi mówić zdaniem złożonym i może na przykład zaciągać.

Jak bohater „Synholt”, wyreżyserowanego przez pana krótkiego metrażu, w którym pan gra główną rolę.

– Chciałem nakręcić film o marzeniu. Wzruszam się, kiedy ludzie marzą o, wydawałoby się, niemożliwym.

Dla mnie to film o samotności i trudności w definiowaniu męskości.

– Eryk jest po trzydziestce, żyje z matką i marzy, że zrobi karierę w kulturystyce. Jeździłem na zawody kulturystyczne rozmawiać z tymi chłopakami. W necie znalazłem vlogi, w których wypowiadają się na każdy temat, na zasadzie „nie znam się, ale się wypowiem”. I wiedzą, co zrobić, kiedy rzuci cię dziewczyna, jaki kupić samochód, jaki dom i jaki wziąć kredyt. Spotkałem się z niektórymi i zobaczyłem bardzo niepewnych siebie, zakompleksionych chłopaków. Sądzę, że pięknie wyrzeźbione ciało pomagało im się ukryć. Chciałem poznać, co jest w głowie facetów, którzy oddają swoje ciało jakiejś idei piękna. Ciało, które wygląda na zewnątrz pięknie, ale po suplementach, jakie w siebie pakują, jego organy są zużyte i stare.

Wystartował pan w zawodach kulturystycznych. Nie czuł pan obciachu?

– Rano producentka powiedziała mi, że wyglądam tak, jakbym zaraz miał dostać zawalu. Przed wejściem na scenę myślałem: „Trojan, co ty sobie robisz, ośmieszasz się”. Nie wiem, czy pani zauważyła, ale całe zawody mają wycięty dźwięk, ponieważ kiedy wyszedłem na scenę, Iwona Bielska, która gra moją mamę, i publiczność tak straszliwie się śmieją, że nie można było tego materiału wykorzystywać i musieliśmy zbudować na nowo cały dźwięk. Pokażę pani, to jest moja nagroda.

Z cytatem w JP2?

– Tak. „Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, nie przez to, kim jest, nie przez to, co ma, lecz przez to, czym się dzieli”. Mięśniak stoi obok nagrody z Gdyni, bo zająłem siódme miejsce i musieli mi coś dać.

Przypomnę, że było to miejsce ostatnie.

– Zawsze ktoś jest ostatni. Wybraliśmy konkurs debiutów, żeby mnie już całkowicie nie ośmieszyć. Tacy jak ja też się na tych zawodach pojawiają.

Kiedy pan słyszał reakcję widowni, to pan się wstydził czy powstrzymywał śmiech?

– Śmiać mi się nie chciało, ciśnienie miałem ze 180. Można było tę scenę zainscenizować i wyszłoby równie fajnie, ale ja naprawdę chciałem zobaczyć na twarzy mojego bohatera upadek. Jego relacja z mamą jest tragicomiczna. Jej rady, jak postępować z dziewczyną, prowadzą do rozstania, ale chyba idzie jej o to, by syn nie miał dziewczyny: „Ty idź na księdza, to blisko mnie będziesz i panę będziesz miał, i sobie poćwiczysz”.

To są prawdziwe teksty mojej babci Teresy, która miała realistyczne podejście do celibatu. Wiedziała, jak wygląda w praktyce. Po studiach zaprosiłem ją do Warszawy i nagrywałem, co opowiada. Uwielbiałem jej dyktando do życia. Tyle już przeżyła, że wiedziała, że naprawdę nie ma znaczenia to, czym się ją się akurat przejmuję i stresuję. Kiedy do niej

przyjeżdżałem, mówiła, bym zgolił jej włosy i zrobił zdjęcie na nagrobek. Bo nie chce mieć jak buldog papłoków, tylko fajne, ładne zdjęcie. I nie „jak one wszystkie – w trwałej”. Więc robiłem babci mnóstwo zdjęć do trumny, jak to ona mówiła. Mam w komórce. I wie pani co? Stoimy niedawno z mamą nad jej nagrobkiem i patrzymy na to jej zdjęcie, a ono jest standardowe, takie, jak wszyscy mają.

Musi pan zmienić!

– Może rzeczywiście.

Powiedział pan, że gra intuicyjnie: „puszczam się i wierzę, że to, co przeżyłem, da radę przed kamerą”. A zatem pan musi najpierw przeżyć, by potem móc zagrać?

– Odkąd uważam, że uprawiam aktorstwo na w miarę dobrym poziomie, traktuję je jak jazzowanie. Znasz nuty, wiesz, o co chodzi, ale zapominasz wszystko na scenie. I te nieuchwytnie momenty, które rdzą się między muzykami, są najlepsze. Przed ujęciem mam adrenalinę, odpalają kamerę i coś się wydarza. Wiadomo, że nie zawsze tak idzie, bo zdarzają się błędy kamery, oświetlenia, dźwięku czy ustawień. Nie zakładam, że moja postać ruszy się tak albo inaczej, albo na jej twarzy pojawi się w odpowiednim momencie jakiś grymas. Mnie takie aktorstwo w ogóle nie interesuje, bo nie mam w nim żadnej radości. Radość mam wtedy, gdy ktoś pyta „a jak ty to zrobiłeś?”, a ja nie wiem jak.

Jak na takich emocjach powtórzyć scenę?

– Janek Holoubek, reżyser „25 lat niewinności”, powiedział mi, że jestem aktorem pierwszego, drugiego dubla. Czwarty raz to mi się już rzeczywiście nie chce, odtwarzam, a nie przeżywam, co jest w moim przypadku niedobre, bo sztuczne.

Kiedy osiem miesięcy po kręceniu „Johny’ego” nagrywaliśmy postsynchrony, nie umiałem już mówić jak mój bohater. Na planie moje ciało i wrażliwość były nastrojonym do grania instrumentem, ale w studiu byłem już w innych emocjach. Potrzebowałem dużo czasu, by wejść w to z powrotem.

Dochodzi pan do postaci przez ciało?

– Nazwałbym moją metodę ciałowrażliwością. Filtruję przez ciało emocje, jakie mam w sobie – lęk, miłość, strach i agresję, podkręcam je i patrzę, jak ono na nie reaguje.

Pracując nad rolą Tomka Komendy, dużo myślałem o tym, co bym czuł, gdyby ktoś potraktował tak brutalnie moich braci. Ro-

sko we mnie napięcie i potrafiłem się doprowadzić do takiego stanu, że po nakręceniu niektórych ujęć musiałem prosić o ibuprom, zamknąć się w swoim pokoju i do nikogo nie odzywać. Musiało ze mnie zejść. Agata Kulesza, która grała matkę Tomka, mówi, by traktować aktorstwo jak zabawę w piaskownicy. Dzieci bawią się w króla albo w mordcę i są w tym na sto procent, ale kiedy mama zawoła na obiad, ich emocje natychmiast się zmieniają. To jest nauka dobrego i szybkiego wyjścia z postaci. I pracuję nad tym, by schodziło ze mnie jak najszybciej.

Przy „Johnnym” z kolei myślałem o moich wszystkich bliskich, którzy odeszli. Wspominałem, jak się z nimi żegnałem, i analizowałem, co mi się wtedy uruchamia w ciele. W jaki sposób drży mi warga, jak pracują oczy, jak spinają mięśnie. Na planie uruchomiła mi się pamięć reakcji ciała.

No i nie jest pan tak chudy jak w filmach.

– Do roli Tomka i Patryka musiałem schudnąć. Dawid Ogrodnik, który gra księdza Kaczkowskiego, musiał z kolei przytyć i zjadł kilkanaście pączków dziennie, czego mu zazdrościłem, bo byłem na restrykcyjnej diecie. Jadłem proste jedzenie z pudełek. Taka dieta garstkowa. Garść białka, garść warzyw, garść węglowodanów i tak pięć razy dziennie.

Jak się gra żyjących ludzi?

– Nie pofolgujesz z wyobraźnią, bo możesz kogoś zranić. Miałem w tyłu głowy włączoną kontrolkę, bym uważał, bo to, co zagram, zobaczy mój bohater. Nie poradziłbym sobie psychicznie ze sobą, gdybym któregoś z nich skrzywdził. Dużo rozmawialiśmy z reżyserem o tym, jak przedstawić dom Patryka, by pokazać prawdę i go nie zranić. Miałem z tą sceną problem.

Krzywdą byłoby odarcie z intymności?

– Nie. Gdybym udratyzował, przekłamał ich życie po to tylko, by w filmie lepiej to grało. A zawsze korci, by zrobić coś bardziej hardkorowo. Nie mógłbym potem spojrzeć w twarz ani sobie, ani Patrykowi, ani Tomkowi. Tomka nie pytałem o jego przeżycia. Intuicja mi podpowiadała: nie rób tego, pytaj o wszystko, tylko nie o doświadczenia więzienne, bo się wszyscy rozsypiemy. To jest za ciężkie, za świeże, nie ruszaj tego.

Podpatrywałem, w jaki sposób Tomek do mnie mówi, jak reaguje, jak pali papierosa, jak żartuje. Kiedy przyjechał na plan popatrzyć na scenę, w której policjanci skuwają go i zabierają z mieszkania, byłem jakby sparaliżowany. Krępowało mnie, że patrzy na mnie i przeżywa to raz jeszcze. Bracia Tomka patrzyli na podgląd i mówili, że mają w sobie tyle niewyrażonej złości, że muszą sobie powtarzać, że to, co widzą, jest fikcją, by nie rzucić się na aktorów. Tomka sprawa jest zamknięta, ale policjanci, którzy go wrobili, nadal nie zostali ukarani.

Spotyka się pan z nim?

– Widzieliśmy się po premierze we Wrocławiu. Poszliśmy na piwo i zobaczyłem, jak mu jest ciężko przejść niezauważonym. Ludzie go zaczepiali i, życząc powodzenia, przypominali mu jego straszną przeszłość, o której on chciałby zapomnieć, napić się w spokoju piwa i porozmawiać.

Czy traumy pana bohaterów wieńczy happy end?

– Na ekranie na pewno.

Wierzy pan w szczęśliwe odmiany losu?

– Poznałem chłopaków, którym pomógł ks. Kaczkowski. Nie tylko Patryka, ale też innych gości, z bogatą przeszłością. Jeden z nich jest księdzem.

A więc nie wierzę, a wiem, że takie przemiany są możliwe. Ważne jest przesłanie tego filmu. Niestety człowiek znów wpada w wir życia, goni i zapomina, że najważniejsi są bliscy i czas, jaki z nimi spędzamy. Widzę po swojej rodzinie, jak dobrze nam robi wspólne bycie ze sobą. Ale tydzień, dwa i już o tym nie pamiętam. Mama dzwoni, a ja nie mam czasu odebrać. ●